Dodatek do Nr. 52 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 26. Sobota, dnia 26-go Grudnia. Rok 1908

W DZIEŃ NARODZENIA PANA.

Łuną złotych blasków lśniąca
W cichej nocy mroku,
Jak pochodnia gorejąca
Gwiazda wśród obłoku.
I ogarnia świata kręgi
Od niebios na ziemię,
Snując cudnych świateł wstęgi
Hen! ku Betlejemie —
Nad stajenką, gdzie we żłobie
Znalazł Pan kolebkę sobie,
Jezus-Dziecię,
Życia życie,
Wszechludzkości Król!

Wstają ze snu pastuszkowie
Oglądać Cud Cudu.
Spieszą mędrcy i królowie
Za nimi tłum ludu....
Radość serca opromienia
I nadzieją świta:
„Idzie z Nieba Moc Zbawienia,
Ziemski padół wita!"
I Anielskich pieni echo
Gra „Hosanna!" — ponad strzechą
Gdzie z Maryi,
Cnót Lilii
Rodzi się Syn-Bóg.

Biegnie żywo hymn radości
Po ziemskiej krainie:
„Chwała Panu z Wysokości,
Co nam gości ninie —
Pokój ludziom dobrej woli,
Co znak zgody sieje,
Koi ziemskiej ból niewoli
I budzi nadzieję!"
A w maluczkich duszach wstaje,
Brzask i moc w cierpieniach daje.
Dar nad dary,
Sztandar wiary:
„Narodził się Bóg!"

Szcz.

WIGILIJNY OPŁATEK.

Z ukazaniem się pierwszej gwiazdy na niebie tradycyjny do nieco drżącej ręki wziąwszy opłatek pani Zarska zbliżyła się do męża, miękkim, serdecznym, dziś bardziej niż zwykle wzruszonym głosem wszelkich życząc mu doczesnych i wiecznych pomyślności. Niemniej od niej był i Piotr Zarski wzruszony, z tą tylko różnicą, że wzruszenie to silną wolą w sobie tłumił, ukrywając je pod powłoką sztucznej, bynajmniej dobrze nieudanej wesołości.

— Na przyszły rok, Kasiu — rzekł, łamiąc się opłatkiem i w czoło żonę całując — będziemy, da Bóg życia, spożywać z sobą dwudziestą piątą wilię.

— I cóż z tego! — szepnęła żona, a dwie łzy gorące, zwolna spłynęły po bladych jej policzkach.

W obawie większego u żony wybuchu, żalu, choć co prawda, i jego coś w gardle dławiło, jął się upominać o obiad, lecz za wejściem do jadalnego pokoju, ujrzawszy dwa tylko nakrycia, siadł do stołu w ponurem milczeniu, nie patrząc na żonę, której łzy coraz rzęsistszym padały deszczem. We własnem sercu srogi czując ból, żony już łajać nie śmiał, lecz zarazem nie chciał nic takiego wymówić, coby te łzy żony na uśmiech szczęścia zamieniło, a samotne tęskne życie ich na pomyślniejsze naprowadziło tory. Lecz pani Zarska, której uwagi tłumione wzruszenie męża nie uszło, chcąc skorzystać z tego usposobienia, by poruszyć — kamieniem na sercu ciężącą — sprawę, drżącym rzekła głosem:

— Inaczej wyglądała przeszłoroczna nasza wilia!

— A czyjaż w tem wina? — gniewnie odparł mąż. — Czy może moja? Dajmy temu wszystkiemu spokój. Twoje utyskiwania rzeczy nie zmienią. Co się stało, to się nie odstanie.

Potem już do końca obiadu, prócz cichego, niemal gwałtem tłumionego łkania pani Zarskiej, iście grobowe zapanowało milczenie.

Wypiwszy czarną kawę, mąż wziął czapkę i laskę:

— Pójdę zajrzeć do Pawła: podobno się jego stan pogorszył. Za jaką godzinę wrócę na herbatę.

a potem pójdziemy razem do Bernardynów na Pasterkę.

Gdy się za mężem drzwi zawarły:

— Tak, tak — głośno pomyślała żona, modlić się będziesz, ale przebaczać, to nie. Cóż z takiej modlitwy przyjdzie, kiedy w sercu nie ma ani miłosierdzia, ani litości. Wszak w Piśmie Świętem wyraźnie powiedzianem jest: „Bo nie na sprawiedliwościach naszych pokładamy modlitwę przed obliczem Twojem, ale na litościach Twoich mnogich". Bóg zatem ma dla nas litość, ale my o litości ani słyszeć chcemy. Jesteśmy za to sprawiedliwi, bardzo sprawiedliwi, ale to jest sprawiedliwość bez serca, twarda jak głaz i... fałszywa.

I to mówiąc, biedna matka rozpaczliwie załamywała ręce.

Tak się odbyła u Piotrów Żarskich Wilja.

Byli to ludzie uczciwi, zasługujący na szacunek. W ubóstwie pożycie małżeńskie rozpocząwszy, wytrwałą, bardzo nieraz ciężką, obopólną pracą, doszli byli, po kilkunastu latach mozolnych, do dobrobytu i spokoju. Znać to było wszędzie: i w schludnych, porządnie utrzymanych pokojach, i w zdrowej, pożywnej, choć prostej kuchni, i w dostatnich obojga małżonków szatach. A że przytem byli oboje ludzie bogobojni, z dobrobytu ich nieraz i dla ubogich coś kapnęło.

* * *

W najnędzniejszej dzielnicy miasta w pokoiku trzeciego piętra ubogo wyglądającego domu, również na dwie osoby przyrządzona była wilja, tylko ramy obrazu inne były niż u Piotrów Żarskich; mała izdebka, mebli tyle tylko, ile ich niezbędnie do życia potrzeba, na stole wilijnym, przykrytym szarym obrusem, dwa talerze, dwie szklanki i butelka piwa, wszystko oświetlone nędzną lampką. Ale cała skromność ta, całe ubóstwo, taką świeciło czystością, tak odrazu w oczy biło, że tu kobieca ręka umiłowanego zakątka starannie dogląda, że można było o biedzie zapomnieć i nawet z pewną przyjemnością na „zakątek" ten, patrzeć.

Gdy na zegarze miejskim, zaczęła bić godzina szósta, z maleńkiej, tuż obok izby ukrytej kuchenki, z dymiącą wazką w ręku, weszła młoda kobieta, tak ładna, z tak czarującem w oczach wejrzeniem, że to wejście jej równało się promieniom słońca, a że na Bożym świecie zimowe słońce, już dawno było schowało blade swe oblicze, widok ten, bardziej jeszcze był pożądany. Po chwili, wpadł do izby młody, przystojny człowiek w ubraniu fabrycznego robotnika. Czapkę rzucił na łóżko, wesoło wołając:

— Jestem! Klarciu moja jedyna jestem, i to na cały dzisiejszy wieczór, i na cały jutrzejszy świąteczny dzień! Nie często nam się gratka taka zdarza. I to mówiąc młody człowiek, serdecznym uściskiem żonę do siebie przytulił.

— Teraz pójdę się umyć, bom się dziś dymu i kurzu nałykał bez miary, a potem zasiadamy do Wilii, do naszej Wilii, Klarciu moja!

Gdy umyty i uczesany młody mąż powrócił, żona wzięła opłatek do ręki, i zbliżywszy się do męża, jak samo jak p. Piotrowa Zarska wzruszona, tylko innym rodzajem wzruszenia, w jego poczciwe oczy wpatrując się czule:

— Władku mój drogi — rzekła — podzielmy się opłatkiem, uściskajmy się, a potem, coś ci powiem.

— Cóż to takiego być może? — Odrzekł mąż. — Chyba nic złego, bo mi wyglądasz uradowana. Mów prędko.

— Nie, nic złego. Wysłuchaj mnie teraz. Dziś po południu, krótko po twojem odejściu, do drzwi zapukawszy, weszła tu jakaś pani. Blada była i bardzo wzruszona. Gdym zapytała, czem jej służyć mogę, dość długo nie była w stanie mi odpowiedzieć. W milczeniu rozglądała się po pokoiku, a oczy jej coraz to gęstszemi zachodziły łzami. Wreszcie wzrok jej spoczął na mnie, dziwny, bo jak promień słońca ciepły wzrok. Wtedy, mimowolnie i mnie coś w gardle dławić zaczęło. Upłynęło tak parę minut, w ciągu których słyszałam wyraźnie bijące dwa serca, poczem, rękę położywszy na mojem ramieniu, drżącym głosem pani ta rzekła: — Jestem Władka matką.

— Boże mój święty! — zawołał młody człowiek. — Matka! Matka moja ukochana... moja święta matka była tu u nas... to chyba być nie może? i cóż dalej?

— Co dalej?... Ot! rzuciłam się przed nią na kolana, stopy jej całować chciałam, ale ona, przygarnąwszy mnie do siebie, uściskała mnie po macierzyńsku, powiadam ci Władku po macierzyńsku, a spływające po jej twarzy łzy, spadały na mnie, jakby błogosławiona rosa.

Władek płakał jak dziecko.

— Mów dalej, Klarciu, mów dalej. Serce mi z łona wyskakuje z radości.

— W pierwszej chwili — mówiła dalej Klarcia — żadna z nas nie była w stanie ni słowa wymówić. Twoja matka gwałtem chciała mnie podnieść, ale mnie u nóg jej, tak było dobrze, tak głęboko czułam, że mi się w obec twojej matki, inne miejsce nie należy, żem powstać nie chciała. Tylko matce przysunęłam krzesło, a na kolanach jej głowę wsparłszy, drogie ręce jej pocałunkami okrywałam.

— Powiedz Władkowi — rzekła wreszcie pół głosem, jakby w obawie, aby jej kto nie podsłyszał, że bez niego już dłużej wytrzymać nie mogłam. Bez wiedzy, bez pozwolenia ojca do was dziś przyszłam, i jak dotąd, bez oliwnej gałązki w ręku. Ale nie traćcie nadziei, dzieci moje (uważasz Władku, powiedziała wyraźnie: Dzieci moje, więc mnie za córkę uznaje). Bóg jest miłosierny i litościwy, a do ojcowskiego serca matka wasza kołatać nie przestanie. Bądźcież więc dobrej myśli, pracujcie, módlcie się i z zaufaniem w przyszłość patrzcie, bo przyszłość w Boskich spoczywa rękach, a Bóg jest wszechmocny.

Ja się wtedy do matki nachyliłam i szepnęłam jej coś do ucha, za co zostałam tak serdecznie uściskana, że mi do tej chwili po uścisku tym w duszy ciepło. Ale w tej właśnie chwili, na zegarze wybiła czwarta, i matka nagle zerwała się z krzesła.

— Musze czemprędzej do domu uciekać, żeby się czasem ojciec czego nie domyślił. I zrobiwszy mi na czole krzyżyk, spiesznym krokiem z pokoju wyszła.

— To już chyba Najświętsze Dzieciątko na Wilję zesłało nam dziś niespodziewane, od roku tak tęsknie wyglądane szczęście to, niechże mu będzie Chwała na wysokości.

— A na ziemi pokój ludziom dobrej woli, zawtórowała z namaszczeniem Klarcia. I do stołu zasiadło młode małżeństwo, z sercem przepełnionem niewypowiedzianą błogością, oraz z zaufaniem w przyszłość, bo tak nakazała matka.

Tak się odbyła Wilja u Władków Zarskich.

* * *

Koło godziny dziewiątej, Piotr Zarski wrócił do domu na herbatę. Zastał żonę siedzącą przy samowarze z robotą w ręku. Spokojna była, ale oczy miała czerwone.

— Cóż Paweł? Jakżeś go znalazł?

— Osłabiony jest bardzo; zaledwo tyle miał sił, żeby mi rękę podać, ale gorączka trochę opadła.

— Szkodaby go była wielka. Zacny to, dobry, o litościwem sercu człowiek, a dla nas, tak zawsze szczerze przyjacielski. Czy mówił co do ciebie?...

— W kilku, słabym głosem wymówionych słowach, polecił mi córkę. W razie śmierci Pawła (co nie daj Boże) trzeba nam będzie nad Elżbietką czuwać, a jak z klasztoru powróci, może się zająć jej przyszłością.

— Biedne dziecko! Na serdeczną z mej strony opiekę liczyć może. Ale możeby ci trochę soku do herbaty dolać. Piotrze, wyglądasz zmęczony, a do kościoła mamy jeszcze całe trzy godziny.

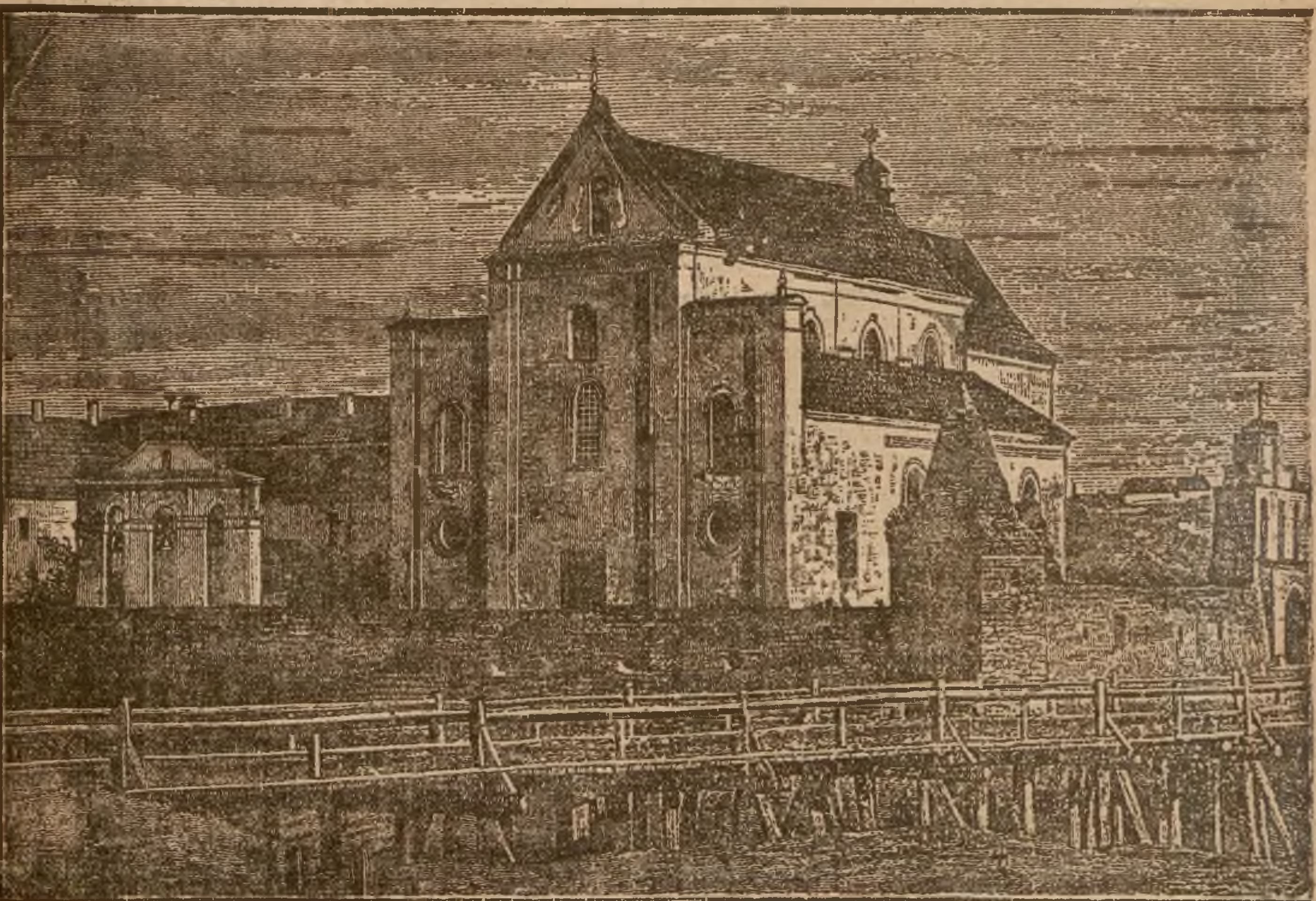
— A dobrze. To mnie orzeźwi. Widok tego biednego Pawła, strasznie mnie zmartwił.

P. Zarska poszła do szafy po butelkę z sokiem, przyrządziła mężowi herbatę, przy filiżance położyła gazetę, poczem siadła i wzięła się do szycia. Patrzał mąż na nią, nieco mniej chmurnem, niż przed paru godzinami wejrzeniem Smutny, a tak poczciwy wyraz twarzy jej, wzbudzał w nim zwolna jakby lekki wyrzut sumienia. Zapytał więc, na wpół żartobliwym głosem do ręki biorąc robotę żony:

— A to co za nowe będzie twojej pracowitości arcydzieło?

— To?.. to?... — Zmięszawszy się, odrzekła żona —to koszulka dla niemowlęcia. — W tej jednej chwili, nagle wszystkie, w sercu zacnej kobiety zerwały się tamy i nie dając mężowi przyjść do słowa, cała jeszcze drżąca wspomnieniem rannych u dzieci odwiedzin, jednym, gorącym tchem opowiedziała mu, że pomimo ostrego jego zakazu, nie mogąc dłużej z taką tęsknotą w życiu wytrzymać, była dnia tego u Władka, u swego jedynaka. Że żona jego, choć tylko biednego wyrobnika córka, a ona sama, gdy on się z nią żenił, czemże była, jeżeli nie biedną — jak Władkowa — sierotą, bez grosza posagu — piękną jest jak anioł i jak anioł pokorna i dobra. Że u nich jest ubogo, oh, bardzo ubogo, ale schludnie i czysto. Że synowa ich, cały czas u nóg jej klęczała, o nic nie prosząc, ale bezustannie, całą duszą dziękując, że matka do nich przyszła. Że Władka w domu nie zastała, bo jeszcze nie był powrócił z fabryki, a ona sama, bojąc się męża, nie śmiała tam dłużej pozostać.

Wszystko to wypowiedziawszy, wsparła głowę na ramieniu męża, z bijącem sercem, czekając na wyrok. Piotr Zarski głowę tę do łona przycisnąwszy, rzekł złamanym ze wzruszenia głosem:



Kościół Karmelitów w Trembowli.

— Kasiu, poślij Magdę po fiakra. Pojedziemy do naszych dzieci.

— Chwała na wysokości Bogu! — uszczęśliwiona, radością opromieniona zawołała matka.

— A na ziemi pokój ludziom dobrej woli, dodał Piotr Zarski, tę właśnie, przez aniołów pastuszkom zapowiedzianą dobrą wolę, odnajdując w zacnej, łagodnej, kochającej żonie, która w cierpliwości wszystko zniosła, wszystko przemogła i błogosławieństwo Boże mając za sobą — wszystko osiągnęła.

ZE WSPOMNIEŃ HISTORYCZNYCH.

Kościół w Trembowli.

Trembowla, miasto dawniej powiatowe ziemi Halickiej, w dzisiejszej Galicyi, leży w obwodzie Tarnopolskim, nad rzeczką Hniezną, niedaleko ztąd do Seredu wpadającą.

Trembowla już w pierwszej połowie XIII wieku w kronikach wspomniana, była stolicą udzielnego księstwa, w którem Wasilko Rościsławowicz panował. Gród to jeden z najdawniejszych na Rusi Czerwonej.

Stary zamek, na skalistej, z trzech stron prawie niedostępnej górze leżący, Kazimierz Wielki przebudował i wzmocnił. O jego mury często rozbijały się najezdnicze zastępy Tatarskie, jakkolwiek warownia ta samego miasta ochronić nie zdołała od pożogi i zapędzania mieszkańców jego w pogański jassyr. Nieraz z głęboką boleścią serca, wojownicy z załogi zamkowej patrzeć musieli, nie mogąc nieść pomocy, jak dzicz ta swobodnie podpalała domostwa Trembowli, a ludność całą pędziła przed sobą jak trzodę. Szczupły rycestwa zastęp, dostateczny do obrony warownego grodu, nie miał siły nieść odsieczy swojej braci, otoczonej liczną ćmą tatarską.

Zamek przez czas nadniszczony, Aleksander Bałaban, starosta Trembowelski za Zygmunta III-go odnowił i do pierwiastkowego stanu przywrócił; nigdy w nim też dotąd noga pohańców nie stanęła.

Za czasów Jana Sobieskiego w roku 1675, Turcy pod wodzą Ibrahima Baszy, opasali wokoło miasto i zamek, strzelając z dział bezustannie przez dni kilka. Kule wyszczerbiły już znaczny wyłom w murach zamkowych, brak żywności dawał się czuć dotkliwie. Dowódzca załogi w tym grodzie, kasztelan Jan Samuel Chrzanowski, widząc trwogę powszechną i upadek na duchu swego rycerstwa, postanowił zamek poddać. Zwołano radę wojenną, i gdy ta, jednozgodnie myśl dowódzcy podzieła, staje w pośród grona wojowników małżonka kasztelana, Zofia, z bronią w ręku, oświadczając stanowczo, że przeniesie dobrowolną śmierć raczej, aniżeli niewolę u pogan.

Bohaterska postawa tej pięknej niewiasty, energia i stanowczość, malujące się w jej oczach, jaśniejących niezwykłym blaskiem, przy zarumienionem obliczu z gniewu i oburzenia, wlewają nową otuchę w serce jej męża, jak i całej załogi. Z okrzykiem niesłychanego zapału, poprzysięgają wszyscy dalszą obronę zamku, przenosząc śmierć nad niewolę.

Wyłom przez działa tureckie w murach wybity, osłaniają ziemią i kamieniami; tejże nocy przedsiębiorą z zamku wycieczkę.

Jakoż o północy ochotnicy z załogi skrycie wychodzą, znoszą pierwsze straże, w obozie pohańców roznoszą trwogę, i jako oznaki zwycięzkie składają w kościele miejscowym zdobyte buńczuki.

Kiedy dzień zajaśniał i słońce oświeciło całą okolicę Trembowli, na dalekich wzgórzach powiały chorągwie z krzyżem. Była to odsiecz spiesząca na pomoc zagrożonemu zamkowi. Ibrahim Basza rozkazuje obóz zwijać i spiesznie uchodzi, nie śmiejąc stanąć do walki w otwartem polu.

Jest-to ostatnia karta wspomnień tego zamku, który w następnych czasach w zaniedbaniu zostawiony, opustoszał i poszedł w ruinę. W pośród tych zwalisk, ma się wedle miejscowej tradycyi znajdować grób bohaterskiej Zofii Chrzanowskiej.

W środku miasta Trembowli stoi kościół z klasztorem księży Karmelitów (załączony w rycinie), obwiedziony grubym murem, ze czterema dobrze zachowanemi narożnemi basztami. Klasztor ten, również jak zamek, podczas oblężenia Ibrahima Baszy, dzielnie odpierał szturmy, i nie był przez Turków zdobytym.

Liczne wokoło miasta mogiły, pozostały jako nieme świadki krwawych bojów, które tu od połowy XIII stulecia toczono.

Na przeciwległej zamkowi górze, w prześlicznem położeniu nad Seredem, sterczą ruiny starożytnego monastyru księży Bazylianów.

ZDANIA I MYŚLI.

Kto zapanuje nad swym językiem, nad całą swą istotą zapanuje.

❀

Nasze myśli, nasze uczucia, nasze czyny powinny być naszą codzienną modlitwą, modlitwą cichą, czystą, gorąco odczutą, która jak kadzidło z ołtarza serca naszego do nieba się wznosi na chwałę Stwórcy naszego.

❀

W ogrodzie życia jest jeden kwiat najpotrzebniejszy ze wszystkich — kwiat wiary. Tam, gdzie nie wzrasta ta boska roślina, wiele innych kwiatów więdnie przedwcześnie, nadewszystko kwiat prawdziwego szczęścia.

❀

Zapomnienie i przebaczenie są drogocennymi klejnotami, które zdobią duszę chrześciańską jak dyamenty podnoszące strój wspaniały.

❀

Jedyna rzecz, która nadaje wartość życiu, to miłość ideału, miłość tego co piękne i prawdziwe.

Nakładem redakcyi „Prawdy", Kraków. — Czcionkami „Katolika", spółki wyd. z ogr. odp., Bytom